



BESTSELLEROWY
THRILLER,
KTÓRY SZTURMEM
PODBIŁ ŚWIAT

BEZ- BRON- NE

Taylor Adams



Taylor Adams

BEZ- BRON- NE

tłumaczenie **Mariusz Gądek**



WYDAWNICTWO
OTWARTE

Kraków 2019

Tytuł oryginału: *No Exit*

© Taylor Adams

Copyright © for the translation by Mariusz Gądek

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Ewa Polańska Kropka

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: ręka za szybą – Setiadi Setiadi / EyeEm / Getty Images,
szyba pokryta lodem – Erick Camara / EyeEm / Getty Images

ISBN 978-83-7515-520-4



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Dla Riley

Wysłano: 23 gru, 18:52

Do: Gruby_Kenny1964@outlook.com

Od: czarodziej13@gmail.com

Zrobimy to dziś w nocy. Później będziemy potrzebować jakiegoś noclegu na kilka tygodni. Muszę wiedzieć – i to na sto procent – czy się na to piszesz. Potwierdź kwotę, o jakiej rozmawialiśmy. A potem wykasuj tę wiadomość, a ja wykasuję wiadomość od Ciebie.

Utknąłem na postoju na totalnym zadupiu w Kolorado.

Śnieżycy robi się coraz gorsza, a ja za chwilę zamierzam zrobić coś, czego już nie da się odkręcić.

Aha, wesołych świąt.

ZMIERZCH

19.39

23 grudnia

– Pieprz się, Bingu Crosby.

Darby Thorne znajdowała się na dziesiątym kilometry przełęczy Backbone, kiedy w jej aucie złamała się przednia wycieraczka, a bas-baryton Crosby’ego właśnie po raz drugi rozpoczynał refren. Z całą pewnością będzie miał te swoje cholerne białe święta, więc mógłby się już przymknąć.

Darby przekreśliła pokrętło radia (nie złapała nic poza szumem) i obserwowała, jak lewe pióro wycieraczki zwisa niczym przetrącona w nadgarstku ręka. Zastanawiała się, czy nie okleić jej taśmą klejącą, ale nigdzie nie było widać pobocza – tylko wysokie zwały brudnego śniegu z obu stron drogi. Poza tym Darby i tak bała się zatrzymywać. Półtorej godziny temu, gdy przejeżdżała przez Gypsum, płatki śniegu były duże i mokre, lecz w miarę jak wspinała się wyżej, stawały się mniejsze i bardziej ziarniste. W reflektorach samochodu wydawały się mknąć z prędkością światła gwiazdną mgławicą. Działy na Darby niemal hipnotycznie.

„Obowiązkowe łańcuchy przeciwśnieżne”, napominal mijany przez nią ostatnio znak.

Darby nie miała łańcuchów. Przynajmniej na razie. Była na drugim roku studiów na Uniwersytecie Kolorado w Boulder i nigdy nie zamierzała zapuszczać się dalej poza kampus niż do supermarketu Ralphiego. W zeszłym miesiącu wracała stamtąd lekko wstawiona z grupką znajomych z akademika i ktoś zapytał ją (półżartem), gdzie zamierza spędzić ferie świąteczne. Darby odparła zaś całkiem szczerze, że tylko interwencja samego Boga mogłaby ją zmusić do powrotu do domu do Utah.

I najwyraźniej Bóg jej wysłuchał, ponieważ obdarzył matkę Darby rakiem trzustki w zaawansowanym stadium.

Darby dowiedziała się o tym wczoraj.

Za pośrednictwem esemesa.

SZUR, SZUR. Złamana wycieraczka znów przesunęła się po szybie. Na szczęście śnieg był na tyle suchy, a samochód jechał na tyle szybko, że przednia szyba pozostawała czysta. Prawdziwym problemem był śnieg zbierający się na drodze. Żółte linie wyznaczające pasy ruchu pokrywała kilkunastocentymetrowa warstwa świeżego śniegu. Darby od czasu do czasu czuła, że jej honda civic szoruje po nim podwoziem. Odgłos, który temu towarzyszył, przypominał mokry kaszel, za każdym razem odrobinę mocniejszy. W pewnym momencie poczuła, jak kierownica zaczęła jej drżeć w mocno zaciśniętych palcach. Jeszcze dwa, trzy centymetry śniegu, a utknie tu na amen: ponad dwa i pół tysiąca metrów nad poziomem morza, z bakiem pełnym tylko w jednej czwartej, bez zasięgu w telefonie, za jedyne towarzystwo mając swoje niespokojne myśli.

I głęboki głos Binga Crosby’ego. Właśnie po raz ostatni śpiewał refren, gdy Darby upiła łyk ciepłego red bulla.

SZUR, SZUR.

Tak wyglądała cała droga: duża prędkość, przekrwione oczy i ciągnący się kilometrami rozmazany krajobraz wzgórz oraz porośniętych nagimi krzewami równin. Ani chwili na odpoczynek. Jedyne, co Darby dziś jadła, to ibuprofen. W pokoju w akademiku Dryden zostawiła zapaloną na biurku lampkę, ale Darby zobaczyła to dopiero wtedy, gdy wyjeżdżała z parkingu – była już za daleko, by zawrócić. W gardle paliła ją zgaga. Na iPodzie, który już zdążył paść, miała pirackie kawalki Schoolyard Heroes i My Chemical Romance. Wzdłuż drogi migały zielone szyldy z wyblakłymi reklamami fast foodów. Boulder zniknęło we wstecznym lusterku około południa, potem Darby minęła tonące we mgle Denver z flotyllą uziemionych samolotów, a w końcu małe, zasłonięte ścianą padającego śniegu Gypsum.

SZUR, SZUR.

White Christmas Binga Crosby'ego umilkło i rozpoczęła się kolejna świąteczna piosenka. Darby słyszała obie już dwukrotnie.

Hondą zarzuciło ostro w lewo. Red bull rozchlapał się na kolana Darby. Przez krótką, przyprawiającą o skurcz żołądka chwilę kierownica nie chciała nawet drgnąć (*skontruj kierownicę, skontruj kierownicę*), jednak w końcu Darby udało się odzyskać panowanie nad pojazdem i ruszyła dalej pod górę. Zaczęła jednak tracić prędkość. A także przyczepność.

– Nie, nie, nie – nacisnęła pedał gazu.

Całoroczne opony zabuksowały na rozmokłym śniegu, a samochodem gwałtownie szarpnęło. Spod maski zaczęła się unosić z sykiem para.

– No dalej, Blue...

SZUR, SZUR.

Nazwała ten samochód Blue, kiedy dostała go w liceum. Teraz naciskała z całej siły pedał gazu, licząc na to, że koła wreszcie złapią przyczepność. W lusterku wstecznym widziała dwa wypryskujące spod nich białe pióropusze śniegu, zabarwione dodatkowo na czerwono przez tylne światła. Rozległ się ostry, grzechoczący dźwięk – to podwozie hondy znowu zaszorowało po śniegu. Samochodem szarpało, zarzucało mu tyłem, aż w końcu...

SZUR...

Wiatr całkiem oderwał lewe pióro wycieraczki.

– Cholera. – Serce Darby na chwilę zamarło.

Teraz płatki śniegu zaczęły się szybko gromadzić na niczym niechronionej lewej części przedniej szyby. Samochód za bardzo wytracił prędkość. Dosłownie w ciągu kilku sekund widok na drogę stanową numer siedem skurczył się do rozmiarów wąskiego tunelu i Darby wściekle uderzyła w kierownicę. Zabrzmiał klakson, lecz nikt go nie usłyszał.

Tak właśnie ludzie umierają, pomyślała z drżeniem. Uwięzieni na kompletnym bezludziu, w śnieżycy i bez paliwa w baku. Zamarzają na śmierć.

Sięgnęła po red bulla: puszka był pusta.

Wyłączyła radio, przechyliła się na fotel pasażera, by spojrzeć na drogę, i próbowała sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widziała jakiś samochód. Ile kilometrów stąd? To musiał być pomarańczowy pług śnieżny z literami CDOT, czyli z logo Wydziału Transportu Kolorado, na drzwiach. Trzymał się blisko prawego pasa i wzbijał w powietrze chmury lodowych kryształków. To było co najmniej godzinę temu. Kiedy jeszcze świeciło słońce.

Teraz przypominało ono zszarzałą latarnię, która kryła się za poszarpanymi szczytami, a niebo przybrało odcień

sinego fioletu. Ścięte mrozem jodły były jak postrzępione ludzkie sylwetki. Niżej położone tereny wyglądały niczym ciemne jeziora. Według tablicy informacyjnej na stacji Shell, którą Darby minęła jakieś pięćdziesiąt kilometrów wcześniej, temperatura wynosiła minus piętnaście stopni Celsjusza. Teraz było już pewnie zimniej.

Nagle na prawym poboczu Darby zauważyła w polowie zakopany w śniegu zielony znak. Niespodziewanie wyrósł przed nią w świetle rzucanym przez brudne reflektory hondy: 365 DNI OD OSTATNIEGO ŚMIERTELNEGO WYPADKU.

Ze względu na śnieżycę wyliczenie pochodziło zapewne sprzed kilku dni, ale Darby i tak uznała tę okoliczność za niesamowitą. Minął dokładnie rok. Dość upiorny jubileusz. Na Darby zrobiło to potworne wrażenie, zupełnie jak epitafium nagrobne.

Chwilę później zobaczyła kolejny znak.

MIEJSCE OBSŁUGI PODRÓŻNYCH.

Jeśli ktoś widział jedno z takich miejsc, to jakby widział je wszystkie.

Jeden długi budynek (mieszczący punkt informacji turystycznej, toalety, być może jakiś sklep ogólnospożywczy albo mały bar) położony pomiędzy nękanymi przez wiatr jodłami a popękanymi ścianami skalnymi. Pozbawiony flagi maszt. Przypominający beczkę pień starego drzewa. Zagrzebana po pas w śniegu gromadka figur z brązu: ufundowana z pieniędzy podatników kolekcja rzeźb dla uczczenia jakiegoś miejscowego lekarza lub innej ważnej osobistości. No i położony z boku parking z garstką samochodów należących do innych uwiecznionych przez zamieć podróżnych, którzy podobnie jak Darby czekali na odśnieżenie dróg.

Od Boulder Darby minęła dziesiątki podobnych miejsc postojowych. Niektóre z nich były bardziej okazałe, większość wyglądała zdecydowanie lepiej, a już na pewno żadne nie znajdowało się na takim odludziu. Los najwyraźniej jednak zdecydował, że to tutaj przyjdzie Darby przeczekać śnieżycę.

ZMĘCZONY? – pytał niebieski znak. ZAPRASZAMY NA DARMOWĄ KAWĘ.

I kolejny, nieco nowszy, ozdobiony pieczęcią Departamentu Bezpieczeństwa z czasów Busha: WIDZIAŁEŚ COŚ PODEJRZANEGO? ZGŁOŚ TO.

Ostatni znak, który znajdował się na samym końcu zjazdu, miał kształt litery T. Nakazywał ciężarówkom i samochodom kempingowym kierować się na lewo, a mniejszym pojazdom na prawo.

Darby omal go nie staranowała.

Przednia szyba była pokryta grubą warstwą śniegu – prawa wycieraczka też nie dawała już rady – więc Darby opuściła boczną szybę, wychyliła się na zewnątrz i zrobiła na szybie ręką kółeczko, żeby cokolwiek zobaczyć. Miała wrażenie, jakby kierowała, patrząc przez peryskop. Nie zwracała sobie nawet głowy szukaniem miejsca parkingowego – linii i krawężników nie będzie widać pewnie do marca – i po prostu zatrzymała hondę obok szarej furgonetki z zasypanymi śniegiem oknami.

Wyłączyła silnik. Zgasiła światła.

Zapadła cisza.

Ręce wciąż jej się trzęsły po tym, jak wpadła w poślizg. Zacisnęła je w pięści, najpierw prawą, potem lewą (*wdech, policz do pięciu, wydech*) i obserwowała płatki śniegu zbierające się na przedniej szybie. W ciągu dziesięciu sekund nie było już śladu po kółku, które na niej zrobiła. A po trzydziestu sekundach Darby siedziała uwięziona

w mroku przez śnieżną ścianę i powoli zaczynało do niej docierać, że nie zdąży dojechać jutro przed południem do Provo w stanie Utah. To optymistyczne założenie wymagało spełnienia kilku warunków: przed północą musiałyby się przedrzeć przez szalejącą na przełęczy zamieć i najpóźniej o trzeciej nad ranem zatrzymać się w Vernal, aby trochę się przespać. Tymczasem dochodziła już ósma wieczorem. Nawet gdyby nie robiła odtąd ani jednego postoju na sen czy sikanie, i tak nie zdąży porozmawiać z mamą przed operacją. Ta możliwość była NIEODWOŁALNIE ZAMKNIĘTA, podobnie jak kolejna górską drogą według aplikacji na jej telefonie.

W takim razie po operacji.

Wtedy porozmawiamy.

W hondzie panowały teraz egipskie ciemności. Śnieg pokrywał wszystkie szyby, a samochód przypominał coś w rodzaju arktycznej jaskini. Darby sprawdziła iPhone'a, mrużąc oczy w elektrycznej poświacie: brak zasięgu i dziewięć procent baterii. Wciąż otwarty był ostatni e-smes, jakiego dostała. Po raz pierwszy przeczytała go na obwodnicy Gypsum, gdy pędziła po oblodzonym odcinku sto czterdzieści na godzinę, a w dłoni drżał jej mały zielony ekran z napisem: „Na razie z mamą jest okej”.

Na r a z i e. To określenie budziło w niej przerażenie. Jednak nie to było w nim najstraszniejsze.

Starsza siostra Darby, Devon, praktycznie myślała emikonami. Jej wiadomości i wpisy na Twitterze zdawały się mieć alergię na interpunkcję: przypominały niekiedy niepoahamowane potoki słów pozbawione jakiegokolwiek spójnej myśli. Ale nie tym razem. Devon poprawnie zapisała wszystkie słowa, a na końcu nawet postawiła kropkę i wszystkie te detale zagnieździły się w żołądku Darby niczym wrzód. Nie było to nic konkretnego, ale dręczyło

ją przeczucie, że to, co się działo w szpitalu Utah Valley, było dalekie od okej i nie dawało się wyrazić za pomocą klawiatury telefonu.

Ledwie sześć głupich słów.

Na razie z mamą jest okej.

A tymczasem Darby, jej młodsza, niespełniająca pokładanych w niej nadziei córka, utknęła na odludziu, ponieważ nie udało się jej prześcignąć nadciągającej nad Góry Skaliste Śniegoapokalipsy. Siedziała teraz w zasypanej śniegiem hondzie civic rocznik '94 z zepsutymi wycieraczkami, telefonem z wyczerpującą się baterią i krążącą jej po głowie enigmatyczną wiadomością od siostry.

„Na razie z mamą jest okej”. Cokolwiek to, do cholery, znaczyło.

Jako dziecko Darby była zafascynowana śmiercią. Nie straciła jednak żadnego z dziadków, więc śmierć wciąż stanowiła dla niej abstrakcyjne pojęcie, które można było obserwować i podziwiać z dystansu niczym turysta. Uwielbiała kopiować płyty nagrobne techniką frotażu: przykładła papier ryżowy do nagrobka i pocierała ołówkiem lub kredką świecową, aby uzyskać jego dokładną odbitkę. Były piękne. Jej prywatna kolekcja liczyła setki takich odbitek. Część była oprawiona w ramki. Niektóre pochodziły z nagrobków nieznanymi osobami, inne zaś z grobów sław. W zeszłym roku przeskoczyła przez ogrodzenie w Denver, żeby zrobić odbitkę nagrobka Buffalo Billa. Przez długi czas sądziła, że te jej drobne dziwactwa, ta młodzieńcza fascynacja śmiercią przygotowuje ją w jakiś sposób na prawdziwą śmierć kogoś z bliskich.

Ale nie przygotowała.

Przez kilka chwil siedziała w ciemnym samochodzie i wciąż na nowo czytała wiadomość od Devon. W końcu

doszła do wniosku, że jeśli zostanie tu dłużej sam na sam ze swoimi myślami, to po prostu się rozpłaczę, a Bóg jej świadkiem, że przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny już dość się napłakała. Nie mogła znów się pograżać w tym syfie. To zupełnie jak z jej hondą grzęznącą w ciężkim śniegu z dala od cywilizacji – jeśli na to pozwolisz, rozpacz pochłonie cię bez reszty.

Wdech, policz do pięciu, wydech.

Naprzód marsz.

Schowala iPhone’a do kieszeni, odpięła pas, narzuciła kurtkę na bluzę z kapturem i wysiadła z nadzieją, że w tym obskurnym miejscu poza obiecaną darmową kawą będą mieli również wi-fi.

Spytala o to pierwszego podróżnego, którego zobaczyła w środku, a mężczyzna wskazał na nędznie zalaminowaną tabliczkę na ścianie z napisem: „Wi-fi dla naszych gości dzięki uprzejmości CDOT we współpracy z RoadConnect!”.

Mężczyzna stanął za Darby.

- Piszą tu, że... hm, że trzeba zapłacić.
- Zapłacę.
- Dość drogo.
- I tak zapłacę.
- Widzisz? – mężczyzna wskazał ręką. – Trzy dziesięć za każde dziesięć minut...
- Muszę tylko zadzwonić.
- Jak długo ci to zajmie?
- Nie mam pojęcia.
- Bo jeśli więcej niż dwadzieścia minut, lepiej chyba skorzystać z miesięcznego abonamentu RoadConnect, wtedy wyniesie cię to tylko dziesięć dolarów za...
- Cholera jasna, człowieku, zapłacę.

Darby nie chciała na niego warknąć. Dopiero teraz, w sterylnym świetle lamp fluorescencyjnych, po raz pierwszy dobrze przyjrzała się nieznajomemu: był grubo po pięćdziesiątce, miał żółtą kurtkę Carhartt, kolczyk w jednym uchu i siwą kozią bródkę. Wyglądał jak pirat o smutnym spojrzeniu. Darby upomniała się w myślach, że facet utknął tu pewnie tak samo jak ona i tylko próbował jej pomóc.

iPhone i tak nie mógł nawiązać połączenia z siecią. Przesunęła kciukiem po ekranie z nadzieją, że może jednak znajdzie sieć.

Bez skutku.

Facet wrócił na swoje krzesło.

– A to niefart, co?

Darby go zignorowała.

W dzień musiała tu działać zwykła kawiarnia. Ale teraz miejsce to przypominało Darby opustoszały i rzęsście oświetlony dworzec autobusowy nocą. Bar kawowy (Espresso Peak) był zamknięty za przypominającą kratę opuszczoną metalową żaluzją. Za nią było widać dwa profesjonalne ekspresy do kawy z tradycyjnymi przyciskami i poczerniałymi tackami ociekowymi, a także czerstwe drożdżówki oraz czarną tablicę z menu, na której widniało kilka nazw drogich, wymyślnych koktajli.

Poczekalnia dla podróżujących składała się z jednego długiego, prostokątnego pomieszczenia, biegnącego wzdłuż dachu, oraz publicznych toalet z tyłu. Znajdowały się w niej szeroki stół i drewniane krzesła, a wokół ścian ciągnęły się ławki. Był tam też automat z przekąskami oraz stojak z broszurkami turystycznymi. Pomieszczenie to wydawało się przestronne i zarazem ciasne, a w powietrzu unosił się ostry zapach lizolu.

A co do obiecaney darmowej kawy, na zagrodzonym przez żaluzję murowanym kontuarze Espresso Peak leżały serwetki i stały stos styropianowych kubków oraz dwa dzbanki na płytach do podgrzewania. Na jednym z nich napisane było KAWA, na drugim KAKAŁO.

Tutejsi pracownicy raczej nie są mistrzami ortografii, przeszło Darby przez myśl.

Zauważyła, że zaprawa murarska w podstawie kontuaru była popękana i jeden z kamieni na wysokości jej łydki się obluźował. Wystarczyło jedno kopnięcie, żeby go całkowicie wyrwać. Ten widok okropnie drażnił niewielką, obsesyjno-kompulsywną część umysłu Darby, zupełnie jak prosząca się o urwanie wisząca skórka przy paznokciu.

Dobiegł ją też niski, buczący głos przypominający szum skrzydeł szarańczy i zaczęła się zastanawiać, czy w budynku zostało włączone awaryjne zasilanie. To zaś mogło zresetować router wi-fi. Odwróciła się do nieznanego z kozią bródką.

– Widziałeś gdzieś tutaj automaty telefoniczne?

Facet zerknął na nią tak, jakby chciał zapytać: „To ty jeszcze tutaj?”, po czym pokręcił głową przecząco.

– Masz zasięg w komórce? – spytała.

– Nie, odkąd minąłem White Bend.

Cudownie. Według wiszącej na ścianie mapy to miejsce nazywało się Wanapa, co w narzeczu miejscowego plemienia indiańskiego Pajutów znaczyło „Mały Diabeł”. Trzydzieści kilometrów na północ znajdował się kolejny postój dla podróżnych, który nazywał się z kolei Wana-pani – „Duży Diabeł”, a piętnaście kilometrów za nim było położone w dole miasteczko White Bend. Ale dzisiaj, w przededniu Śniegoapokalipsy, Śnieżnego Armagedonu, Śniegodzilli czy jakim tam jeszcze mianem meteorolodzy

ochrzcili nadciągającą śnieżycę, White Bend równie dobrze mogło leżeć na Księżycu...

– Udało mi się złapać zasięg na zewnątrz – odezwał się drugi męski głos.

Darby się obróciła. Drugi nieznajomy stał oparty o frontowe drzwi z ręką na klamce. Musiała przejść tuż obok niego, gdy weszła do środka (*Jakim cudem go nie zauważyłam?*). Facet był wysoki, barczysty i rok lub dwa lata od niej starszy. Wyglądał jak jeden z członków bractwa Alpha Sigma Phi, z którym imprezowały jej współlokatorki z akademika: miał gładko zaczesane włosy, zieloną kurtkę North Face i nieśmiały uśmiech.

– Ale tylko jedną kreskę i ledwie przez kilka minut – uściślił. – Mam telefon w T-Mobile.

– Ja też. A gdzie złapałeś zasięg?

– Przy tamtych figurach.

Darby skinęła głową, mając nadzieję, że bateria w telefonie wytrzyma jedną rozmowę.

– Czy może... hej, czy któryś z was może wie, kiedy mają się pojawić plugi?

Obaj mężczyźni pokręcili głowami. Darby nie podobało się, że stoi między nimi dwoma: ciągle musiała spoglądać to na jednego, to na drugiego.

– Zdaje się, że na komunikaty radiowe nie mamy co liczyć. – Starszy z mężczyzn wskazał na stojące na koncie radio analogowe z lat dziewięćdziesiątych. Znajdowało się za ochronną żaluzją i to ono było źródłem elektrycznego szumu przypominającego brzęczenie owadów. – Kiedy tu przyjechałem, co trzydzieści sekund nadawało komunikaty pogodowe i drogowe – dodał. – Ale teraz jest tylko głucha cisza. Może śnieg kompletnie zasypał nadajnik?

Darby wsunęła rękę przez metalową kratę i wyprostowała antenę, dzięki czemu niewyraźny szum nieco zmienił tonację.

- To i tak lepiej niż Bing Crosby.
- Kim jest Bing Crosby? – spytał młodszy z mężczyzn.
- To jeden z Beatlesów – rzucił starszy.
- Aha.

Darby zdążyła już polubić starszego z nieznanym i żałowała, że tak na niego naskoczyła w sprawie wi-fi.

- Nie znam się za bardzo na muzyce – przyznał młodszy.
- Najwyraźniej.

Na dużym stole leżała talia kart z pozaginanymi rogami. Wyglądało na to, że dwaj uwięzieni przez śnieżycę nieznajomi postanowili się nieco rozerwać przy partyjce pokera.

Z toalet dobiegł odgłos spuszczonej wody.

Trzech nieznanym, poprawiła się Darby.

Wsunęła telefon do kieszeni džinsów, uświadomiwszy sobie, że obaj mężczyźni wciąż się w nią wpatrują. Jeden z przodu, drugi z tyłu.

- Jestem Ed – przedstawił się starszy.
- Ashley – odparł młodszy.

Darby nie podała im swojego imienia. Pchnęła łokciem frontowe drzwi i wyszła z powrotem na mroźne powietrze, wpychając ręce do kieszeni kurtki. Puściła drzwi, by zatrzasnęły się za nią, lecz usłyszała jeszcze, jak starszy z mężczyzn pyta młodszego:

– Chwila. Masz na imię Ashley? Czy to nie dziewczynskie imię?

Młodszy jęknął.

– Nie, to nie tylko dziewczynskie imię...

Drzwi się zamknęły.

Na zewnątrz zrobiło się kompletnie ciemno. Słońce już dawno zaszło. Płatki śniegu lśniły pomarańczowo

w blasku jedynej lampy wiszącej nad drzwiami budynku. Ale Śnieżny Armagedon zdawał się odrobinę zelżeć: na tle nocnego nieba widać było w oddali zarys górskich szczytów. Postrzępione skaliste granie częściowo porośnięte drzewami.

Darby podciągnęła swoją wiatrówkę pod szyję i zadygotała z zimna.

Figury, o których wspominał młodszy mężczyzna – Ashley, znajdowały się na południe od budynku, za masztem i miejscem przeznaczonym na piknik. Blisko zjazdu z autostrady, którym tu dotarła. Z miejsca, w którym Darby stała, ledwo było je widać. Wyglądały jak zagrzebane w śniegu nieokreślone kształty.

– Hej.

Darby się obróciła.

To znowu Ashley. Puścił za sobą drzwi, które zamknęły się z cichym trzaskiem, i dogonił ją, stawiając wysoko nogi w śniegu.

– No więc... jest jedno konkretne miejsce, w którym trzeba stanąć. Tylko tam złapałem zasięg, i to w dodatku ledwie jedną kreskę. Być może uda ci się tylko wysłać esemesa.

– To i tak wystarczy.

– Pokażę ci gdzie. – Ashley zapiął kurtkę.

Szli po jego starych śladach, które – jak zauważyła Darby – były już zasypane kilkoma centymetrami świeżego puchu. Zaczęła się zastanawiać, jak długo Ashley tu tkwił, ale nie zapytała go o to.

Kiedy oddalili się odrobinę od budynku, Darby zorientowała się, że jest on położony na skraju przepaści. Za tylną ścianą, gdzie znajdowały się toalety, widać było wierzchołki drzew, które wyznaczały strome urwisko. Nie widziała, w którym dokładnie miejscu ziemia zaczynała

opadać, ponieważ maskowała to śnieżna pokrywa. Jeden nieostrożny krok mógł się okazać fatalny w skutkach. Tujsza roślinność była równie nieprzyjazna: mocny wiatr miotał gałęziami jodeł, wyginając je w poszarpane, groteskowe kształty.

– Dzięki – powiedziała Darby.

Ashley nie usłyszał. Oboje brnęli przez sięgające do pasa zasy, ramiona trzymali wyciągnięte na boki dla utrzymania równowagi. Poza główną ścieżką śnieg był znacznie głębszy. Conversy Darby zdążyły już przemoknąć, a jej palce u nóg zdrętwiały.

– A więc mam się do ciebie zwracać „Ashley”? – zagadnęła.

– Tak.

– A nie na przykład „Ash”?

– Niby czemu?

– Tylko pytam.

Darby ponownie spojrzała na budynek i w bursztynowym blasku sączącym się z jedyne go okna dostrzegła jakąś postać, która przyglądała im się zza oszronionej szyby. Nie mogła jednak rozpoznać, czy był to starszy z mężczyzn (Ed), czy też ta trzecia osoba, której jeszcze nie widziała.

– Ashley to imię nie tylko dla dziewczyn – oznajmił chłopak, gdy brnęli przez śnieg. – To także zupełnie normalne imię dla facetów.

– Zdecydowanie.

– By przywołać choćby Ashleya Wilkesa z *Przeminęło z wiatrem*.

– O tym samym właśnie pomyślałam – odparła Darby. Dobrze było trochę się z niego ponabijać, ale wrodzona ostrożność, od której nigdy nie mogła się uwolnić, od razu kazała jej się mieć na baczności: *Kojarzysz taki stary film, a nie wiesz nic o Beatlesach?*

– Albo Ashleya Johnsona – dodał chłopak. – Światowej sławy gracza rugby.

– To już akurat zmyśliłeś.

– Nieprawda. – Ashley wskazał na jakiś punkt w oddali. – Hej, widać stąd Górę Melanie.

– Co takiego?

– Górę Melanie. – Chłopak wydawał się zawstydzony. – Przepraszam, siedzę tu już tak długo, że zdążyłem przeczytać wszystkie foldery turystyczne. Widzisz tamtą wysoką górę? Jakiś koleś nazwał ją na cześć swojej żony.

– To urocze.

– Może. Chyba że chodziło mu o to, że jego żona jest tak samo oziębła i nieprzystępna.

Darby zachichotała.

Dotarli w końcu do oblodzonych figur. Była ich tu całkiem spora gromadka. Gdzieś pod śniegiem znajdowała się pewnie tabliczka z objaśnieniem. Wyglądało na to, że rzeźby przedstawiały dzieci, które bawią się, skaczą i biegają. Były odlane w brązie i całe pokryte lodem.

Ashley wskazał na jedną z figur trzymającą w dłoniach kij baseballowy.

– Tam. Przy tym małym sportowcu.

– Tutaj?

– Tak. Właśnie tu złapałem zasięg.

– Dzięki.

– Czy... – Ashley zawahał się, stojąc z rękami w kieszeniach. – Chcesz, żebym tu z tobą został?

Cisza.

– No wiesz. Na wypadek gdyby...

– Nie. – Darby uśmiechnęła się, tym razem całkiem szczerze. – Dziękuję. Nie trzeba.

– Miałem nadzieję, że tak powiesz. Jest tak zimno, że zaraz odmrozę sobie tyłek. – Ashley posłał jej nie-

wymuszony uśmiech i ruszył z powrotem w stronę pomarańczowego światła budynku, machając jej przez ramię. – Baw się dobrze z Koszmarną Dzieciarnią.

– Jasne.

Darby nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo niepokojące są te figurki, dopóki nie została z nimi sama. Rzeźbom brakowało różnych fragmentów. Spotkała się już wcześniej z tą techniką – artysta używał nieobrobionych kawałków brązu, które następnie spawał ze sobą w dziwnych i sprzecznych z intuicją konfiguracjach, zostawiając wyraźne ślady łączzeń, szczeliny i luki – ale w ciemnościach wyobraźnia podsuwała jej skojarzenia rodem z horroru. Chłopiec z lewej, ten robiący zamach kijem baseballowym, którego Ashley nazwał „małym sportowcem”, miał dziurę w miejscu klatki piersiowej. Inne figurki machały patykowatymi, wykoślawionymi kończynami, kolejnym znów brakowało tego i owego. Postacie te przypominały tłum ofiar, którym wściekły pitbull wygryzł gdzieś gdzieś ciało do kości.

Jak Ashley je określił? Koszmarna Dzieciarnia.

Chłopak znajdował się kilka metrów dalej, widać było tylko zarys jego sylwetki na tle pomarańczowego blasku bijącego od budynku. Darby odwróciła się i zawołała do niego:

– Hej, poczekaj!

Ashley obejrzał się.

– Darby – powiedziała. – Mam na imię Darby.

Chłopak uśmiechnął się.

Dzięki, że mi pomogłeś, chciała dodać. Dziękuję, że byłeś wobec mnie w porządku, choć zupełnie się nie znamy. Te słowa znajdowały się w jej głowie, ale nie potrafiła wypowiedzieć ich na głos. Chłopak odwrócił wzrok. Okazja przepadła...

Dziękuję ci, Ashley...

Chłopak ruszył w stronę budynku.

Po chwili jednak znów się zatrzymał, jakby nad czymś rozmyślał, po czym rzucił za siebie:

– Wiesz, że Darby to imię dla faceta?

Darby się zaśmiała.

Patrzyła za odchodzącym Ashleyem, potem oparła się o zastygnięty w pół zamachu kij baseballowy z brązu i podniosła iPhone'a. Mrużąc oczy, spojrzała przez padający śnieg na lewy górny róg ekranu.

Brak sieci.

Poczekala chwilę w ciemnościach. Komunikat w prawym rogu pokazywał, że poziom naładowania baterii spadł do sześciu procent. Ładowarkę zostawiła w gniazdku w akademiku. Ponad trzysta kilometrów stąd.

– Proszę – wyszeptała. – Boże, proszę...

Wciąż brak zasięgu. Oddychając przez szczękające zęby, Darby raz jeszcze przeczytała wiadomość od siostry: „Na razie z mamą jest okej”.

„Okej” jest najgorszym słowem w języku angielskim. Bez kontekstu nie znaczy absolutnie nic. „Okej” mogło oznaczać, że jej mama Maya czuje się lepiej albo też że jej się pogorszyło. Mogło też oznaczać, że jest z nią... no cóż, po prostu okej.

Ludzie mówią, że rak trzustki zabija błyskawicznie, ponieważ śmierć często następuje w ciągu kilku tygodni lub nawet dni od diagnozy. Ale to nieprawda. Rak zabija człowieka latami. Tylko że na wczesnym etapie rozwija się bezobjawowo, niewidocznie mnoży swoje komórki w organizmie chorego, nie ujawniając się pod postacią żółtaczki lub bólów brzucha, aż jest już za późno. Ta świadomość przejęła Darby grozą: to znaczyło, że rak toczył jej matkę, gdy Darby chodziła jeszcze do liceum. Był w jej

ciele, gdy Darby kłamała na temat oderwanych metek z Searsa, które matka znalazła w torebce. Był tam także wtedy, gdy Darby wróciła do domu o trzeciej nad ranem w niedzielę, wciąż jeszcze zamroczona po jakiejś kiepskiej ecstasy i z zieloną odblaskową bransoletką na rękę, a jej matka zalała się łzami i nazwała ją zepsutą małą zdzirą. To niewidoczne stworzenie siedziało tam przycupnięte w środku i cały czas podsłuchiwało, podczas gdy matka umierała i żadna z nich nie miała o tym pojęcia.

Po raz ostatni rozmawiały ze sobą w Święto Dziękczynienia. Przez bitą godzinę przerzuciły się przez telefon argumentami, ale dopiero ostatnich kilka sekund rozmowy najbardziej zapadło Darby w pamięć.

„To przez ciebie tata nas zostawił”, powiedziała matce. „I gdybym tylko mogła wybierać, wybrałabym jego. Bez chwili wahania.

Bez chwili, kurwa, wahania”.

Otarła kciukiem łzy, które zaczęły jej zamarzać na twarzy. Odetchnęła przenikliwie mroźnym powietrzem. W tym momencie jej matka była przygotowywana do operacji w szpitalu Utah Valley, a tymczasem ona, Darby, tkwiła uwięziona na kompletnym bezludziu w Górach Skalistych.

Wiedziała, że ma za mało paliwa, by uruchomić samochód i posiedzieć w nim samej. W budynku były przynajmniej prąd i ogrzewanie. Bez względu na to, czy jej się to podobało czy nie, będzie pewnie musiała trochę pogawędzić z Edem, Ashleyem i z tym kimś, kto spuszczał wodę w toalecie. Już sobie ich wyobrażała – grupka nieznajomych zaskoczonych przez śnieżycę, zupełnie jak poszukiwacze złota lub osadnicy, którzy w poprzednich stuleciach musieli szukać schronienia w tych górach – jak popijają lurowatą kawę, dzielą się opowieściami

i nasłuchują w szumiącym radiu komunikatów o tym, kiedy służby wyślą w te okolice pługi śnieżne. Może chociaż dzięki temu zdobędzie nowych facebookowych znajomych i nauczy się grać w pokera.

A może po prostu wsiedzie do hondy i zamarznie w niej na śmierć.

Obie opcje wydawały się równie kuszące.

Zerknęła na najbliższą stojącą figurę.

– Zapowiada się długa noc, dzieciaki. – Sprawdziła raz jeszcze iPhone’a, lecz straciła już wiarę w magiczne miejsce Ashleya. Marnowała tu tylko baterię i prosiła się o odmrożenia. – Cholernie długa noc – dodała.

Ruszyła z powrotem do budynku na postoju Wanapa, czując napływające pierwsze fale migreny. Śnieżycy znów zaatakowała, zasłaniając góry miotanymi przez wiatr tułaczami śniegu. Za plecami Darby zerwał się gwałtowny podmuch, skrzypiąc konarami jodeł i wydymając jej kurtkę. Darby odruchowo policzyła samochody na parkingu: trzy plus jej honda. Szara furgonetka, czerwony pikap oraz niezidentyfikowany wóz zagrzebany w śnieżnych zaspach.

Darby postanowiła okrążyć parking i przejść obok tej niewielkiej grupki uwięzionych pojazdów. Zrobiła to bez żadnego wyraźnego powodu. W najbliższych godzinach będzie jeszcze wielokrotnie powracać do tej bezwiednej decyzji i zastanawiać się, jak inaczej mogła się potoczyć ta noc, gdyby po prostu poszła do budynku po śladach Ashleya.

Minęła rząd samochodów.

Pierwszy stał czerwony pikap. Worki z piaskiem na platformie, łańcuchy na kołach. W porównaniu z pozostałymi wozami leżało na nim mniej śniegu, co znaczyło, że nie stał tu zbyt długo. Pewnie około trzydziestu minut.

Drugi samochód był całkowicie zasypany, wyglądał jak ogromny kopiec śniegu. Darby nie potrafiła rozpoznać nawet koloru – równie dobrze mógł to być po prostu kontener na śmieci. W każdym razie było to coś dużego, kanciastego i stało tu najdłużej z czwórki pojazdów.

Trzecia w kolejności stała Blue, czyli jej wierna honda civic. Samochód, w którym nauczyła się prowadzić, samochód, którym pojechała na studia i w którym straciła dziewictwo. Brakowało w nim lewej wycieraczki, leżącej teraz gdzieś w zaspie dwa kilometry stąd. Darby wiedziała, że ma szczęście, iż w ogóle udało jej się tu dotrzeć.

Ostatnia była szara furgonetka.

W tym momencie Darby postanowiła przejść pomiędzy zaparkowanymi samochodami i przeciąć parking do oddalonych o niecałe pięćdziesiąt metrów frontowych drzwi budynku. Zamierzała przecisnąć się pomiędzy furgonetką a swoją hondą i oprzeć się o drzwi Blue, aby nie stracić równowagi.

Na bocznych drzwiach furgonetki namalowany był pomarańczowy lis, który wyglądał jak podróbka postaci Nicka Bajera ze *Zwierzogrodu*. Rysunkowy zwierzak trzymał pistolet do gwoździ na podobieństwo agentów służb specjalnych z prawdziwą bronią i reklamował jakieś usługi budowlane bądź remontowe. Nazwę firmy zasypał śnieg, za to dobrze widoczny był jej slogan: KOŃCZYMY TO, CO ZACZNIEMY. Furgonetka miała dwa tylne okna. To z prawej strony było zasłonięte ręcznikiem. Okno z lewej było odsłonięte, odbijało się w nim światło latarni i kiedy Darby przechodziła obok, dostrzegła w środku jakiś błądy kształt. Coś jakby rękę.

Małą rękę, niczym u lalki.

Zatrzymała się w pół kroku, wstrzymała oddech.

Ta mała rączka ścisnęła za oblodzoną szybą coś w rodzaju metalowej kraty – białe palce rozprostowały się delikatnie jeden po drugim w lekko nieskoordynowany sposób charakterystyczny dla dzieci, które nie panują jeszcze w pełni nad systemem nerwowym – po czym nagle szybko wycofała się w mrok. Zniknęła. To wszystko trwało trzy, góra cztery sekundy. Darby stała kompletnie oniemiała.

Bez jaj.

W furgonetce zapadła cisza. I znów zapanował bezruch.

Darby podeszła bliżej, osłaniając dłońmi oczy, przystawiła twarz do szyby i zajrzała do środka. Rzęsy zatrzepotały jej na zimnym szkle. W pobliżu miejsca, w którym zniknęła mała ręka, Darby dostrzegła ledwo widoczny w mroku półksiężyc, w którym odbijało się światło sodowej latarni. Była to okrągła kłódka na szyfr przymocowana do metalowej kraty, którą ścisnęła dziecięca rączka. Zupełnie jakby to dziecko siedziało zamknięte w klatce.

Darby wypuściła powietrze z płuc – błąd – i szkło pokryło się parą. Ale przecież widziała tę rękę. Nie mogła temu zaprzeczyć.

Cofnęła się o krok, zostawiając odcisk dłoni na tylnych drzwiach. Poczuła, jak jej puls przyspiesza.

W tej furgonetce...

W tej furgonetce jest zamknięte dziecko.

**ODLUDZIE. ŚNIEŻYCA.
MAŁA DZIEWCZYŃKA UWIEŻIONA W AUCIE.
ZNIKĄD POMOCY.
CO BYŚ ZROBIŁA?**

Darby jechała z uniwersytetu do domu, gdy rozszalała się burza śnieżna i uwięziła ją na odludziu. Najbliższą noc dziewczyna będzie musiała spędzić na postoju przy autostradzie z czterema obcymi osobami i bez zasięgu. Gdy rozgląda się po parkingu, przypadkowo odkrywa, że w jednym z aut uwięzione jest dziecko...

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-520-4



9 788375 155204

Cena detal. 39,90 zł



WYDAWNICTWO
OTWARTE